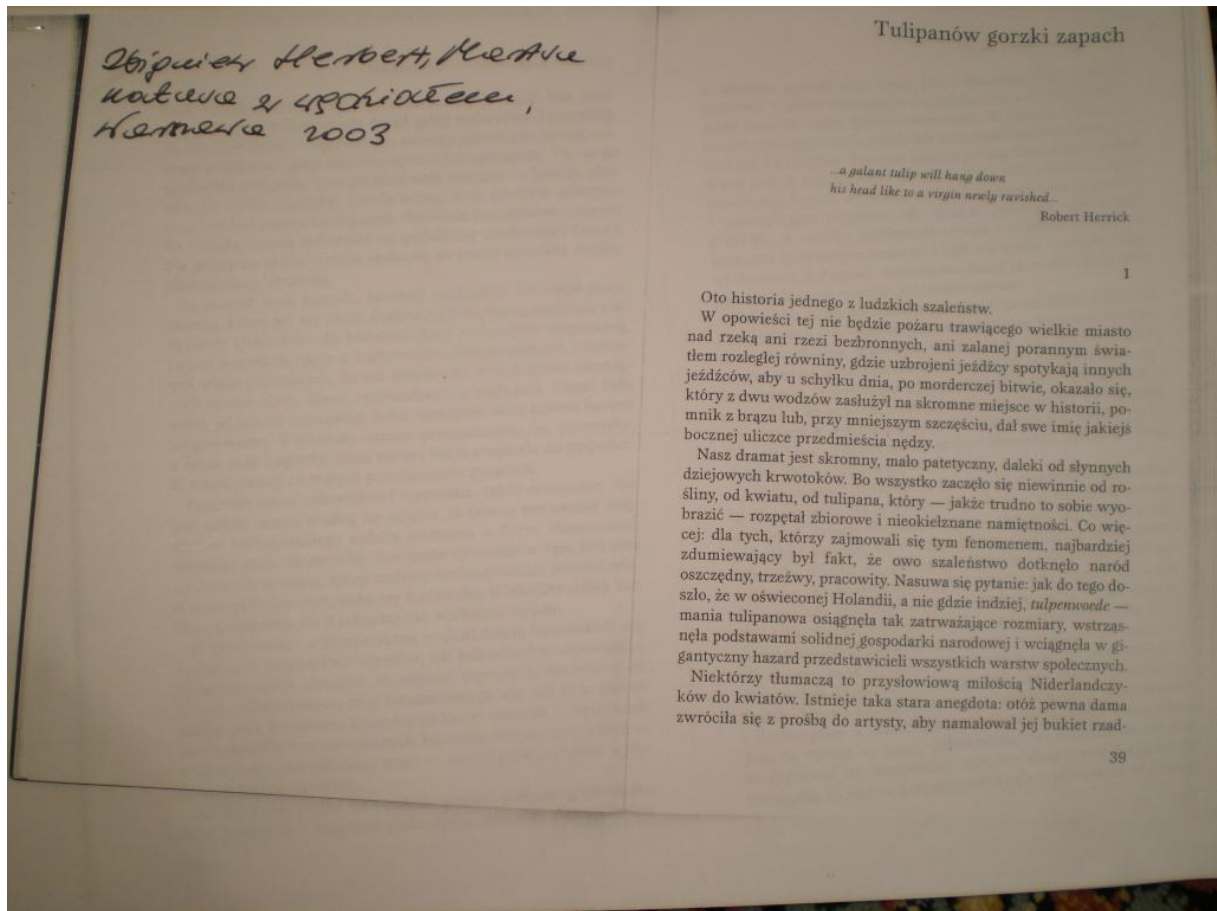


Zbigniew Herbert, Tulipanów gorzki zapach, w: Martwa natura z wędzidłem, Warszawa 2003.



kich kwiatów, bowiem nie stać ją na to, aby je kupić. Tak właśnie miała powstać nieznaną dotąd gałąź malarstwa. Zauważmy, że dla owej damy — inspiratorki nowego gatunku w sztuce, motywy estetyczne grały rolę najzupełniej drugorzędną. To, czego naprawdę pożądała, było przedmiotem realnym — koroną płatków na zielonej lodydze. Dzieło artysty było zaledwie substytutem, cieniem rzeczy istniejących. Podobnie kochankowie skazani na rozłąkę muszą zadowolić się podobizną umiłowanej twarzy. Na początku obraz wyraża tęsknotę za rzeczywistością daleką, nieosiągalną, utraconą.

Są jeszcze inne powody, bardziej prozaiczne czy zgola przyziemne, które, jak się zdaje, dostatecznie tłumaczą osobliwą predylekcję Holendrów do kwiatów. Kraj pozbawiony rozpasanej, bujnej roślinności, ujęty w karby racjonalnej gospodarki, zdumiewał wielu podróżnych, bo nie znajdowali w nim nawet szumiących łąk i łąk ziół. Zboże sprowadzano z zagranicy. Ziemi było mało, jej jakość najczęściej licha, natomiast cena zawsze bardzo wygórowana. Większość arealu przeznaczano na pastwiska, a także sady i ogrody. Sama natura kraju zmuszała do gospodarki intensywnej na małych przestrzeniach gruntach.

Przyroda rzuciła człowiekowi wyzwanie, także estetyczne. Nie jest zatem rzeczą trudną do pojęcia, iż pewna monotonia krajobrazu holenderskiego rodziła marzenia o florze różnorodnej, wielobarwnej, niezwykłej. Być może drzemiała w tym tęsknota za utraconym rajem, który malarze średniowieczni przedstawiali w postaci rozarium, sadu czy kwietnika. Wiekuista zieleń bardziej przemawia do wyobraźni niż wiekuiste światło.

W porównaniu z pompatyczną wspaniałością francuskich czy angielskich magnackich ogrodów, ich holenderskie odpowiedniki są oczywiście skromne. Najczęściej zajmowały przestrzeń zaledwie kilkudziesięciu stóp kwadratowych, ale coś za bogactwo roślin, jaka świadoma kompozycja barw; trawnik z wysepkami mchu, grządki różnokolorowych kwiatów, krzewy bzu, jabłoń — a na to wszystko nałożony wzór — sieć lilipucich ścieżek wyspanych białym piaskiem.

Każdy, nawet prosty rzemieślnik, pragnie posiadać z tyłu domu swój kwietnik i hodować piękniejsze, bardziej niezwykłe niż

w ogrodzie sąsiada róże, irysy, lilie i hiacynty. Owa adoracja przyrody — jakby echo zamierzających kultów roślinności — miała wszelkie cechy miłości oświeconej. W Lejdzie, a także na innych uniwersytetach, wykładali znakomici znawcy świata roślin, jak na przykład Francuz Léculte, zwany Clusiumem (będzie o nim jeszcze mowa), który założył w roku 1587 pierwszy ogród botaniczny. Uчени wyruszyli wraz z kolonizatorami na dalekie i niebezpieczne wyprawy, aby poznać tajemnice egzotycznej przyrody. A szeroka publiczność czytała z zapalem książki poświęcone systematyce, anatomii i hodowli roślin. Sumą tej bogatej literatury jest opasłe, trzytomowe dzieło Jana van der Meursa pod znamienym tytułem *Arboretum sacrum*.

W haskim muzeum Mauritshuis znajduje się obraz *Bukiet na tle sklepionego okna* pędzla świetnego malarza kwiatów, Ambrosiusa Bosschaerta starszego. Otóż obraz ten napawał mnie zawsze czymś w rodzaju niepokoju, chociaż zdawałem sobie dobrze sprawę, że powodem tego nie może być przecież sam temat malarski. Cóż bowiem bardziej kojącego, bardziej idyllicznego niż ułożona z wyszukaną prostotą wiązanka róż, dali, irysów i storczyków, ukazana na tle nieba i dalekiego, górskiego krajobrazu, który roztopia się w błękicie?

A jednak samo traktowanie tematu jest zastanawiające i z lekka niesamowite. Na tym obrazie kwiaty — ciche służki natury, bezbronne dawczyni zachwyty — pyszną się, królują niepodzielnie, panoszą się z niespotykaną dotychczas intensywnością i siłą. Wydaje się, że nastąpił tu ważny i decydujący akt wyzwolenia. „Ciche służki natury” porzuciły rolę ornamentu — nie wdzięczą się, nie omdlewają, ale atakują widza swoją dumą, chciałoby się rzec, świadomą siebie indywidualnością. Są jakby ponadnaturalne i natarczywie obecne. A wszystko to dzieje się nie dlatego, że są wyrazem gwałtownych stanów wewnętrznych artysty (jak *Sloneczniki* van Gogha), lecz wręcz przeciwnie, kształt, kolor i charakter kwiatów został oddany skrupulatnie i drobniawo z chłodną bezstronnością botanika i anatoma. Światło obrazu — jasne, „obiektywne” — oznacza, że artysta zrezygnował ze wszystkich uroków *chiaroscuro*, malarskiej hierarchii, to jest — zatapiając jednych przedmiotów w cieniu





staje się ze swym młynem; jakiś młody żonkoś był podobno zachwycony, kiedy jako cały posąg dostaje od teścia cenną sadzonkę nazwaną stosownie do okazji „*Mariage de ma fille*”; inny zapaleniec nie wahał się zamienić swego kwitnącego browaru na cebulkę, która od tej pory nosi niezbyt wytworną nazwę „*Tulipe brasserie*”.

Przykłady dałoby się mnożyć i bez trudu wykazać, że tam, gdzie pojawił się tulipan, zanotowano mniej lub więcej przypadków tulipanowej manii. Jednakże tylko w Holandii osiągnęła ona nasilenie i rozmiary epidemii.

Początki są niejasne i trudne do ścisłego ustalenia zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Z dżumą ma się sprawa prościej: pewnego dnia zawija do portu statek ze Wschodu, część załogi ma silną gorączkę, niektórzy mającą, na ich ciele widoczne są guzy. Schodzą na ląd, umieszczani są w szpitalach, domach i zajazdach. Pierwsze wypadki śmierci, po czym ilość zachorowań kończących się zwykle zgonem gwałtownie rośnie. Całe miasto, cała okolica, cały kraj ogarnięty jest plagą. Umierają książęta i żebracy, święci i wolnomyśliciele, zbrodniarze i niewinne dzieci. Owo pandemonium śmierci było od czasów Tukidydesa wielokrotnie i szczegółowo opisywane.

Natomiast tulipomania — i tutaj zaczynają się kłopoty — jest zjawiskiem mentalnym, inaczej mówiąc, psychozą społeczną. Podobnie jak inne psychozy — religijne, wojenne, rewolucyjne czy gospodarcze, na przykład gorączka złota czy krach na giełdach amerykańskich w roku 1929 — mimo licznych i uderzających analogii nie dają się oczywiście (ale jaka szkoda!) wyjaśnić w kategoriach chorób zakaźnych. Brak nam instrumentów pozwalających mierzyć ilościowo zakres epidemii, stopień „zarazliwości”, liczbę „zachorowań” o przebiegu ostrym i łagodnym, „krzywą gorączki” poszczególnych osób dotkniętych manią. Pozostaje więc metoda wczuwania się w atmosferę wydarzeń, ostrożny opis, notowanie pewnych jaskrawych i charakterystycznych przypadków.

Trudno dokładnie określić, kiedy tulipan pojawił się po raz pierwszy w Niderlandach, zapewne jednak dość wcześnie. Wiemy na przykład, że w roku 1562 przyjeżdża w antwerpskim porcie

ładunek tulipanowych cebulek. Ale intensywne zainteresowanie tym kwiatem nastąpiło kilka dziesiątków lat później i było zapewne odbiciem mody, jaka panowała na dworach królewskich, zwłaszcza na dworze francuskim.

Na przełomie XVI i XVII wieku zdarzyło się coś, co z pozoru wydaje się mało ważnym przypadkiem z kronik kryminalnych, w istocie jednak stanowi jeden z pierwszych objawów tulipomanii na ziemi holenderskiej. Otóż Carolus Clusius — o którym już wspominaliśmy — profesor botaniki na słynnym uniwersytecie w Lejdzie (przedtem piastował godność dyrektora cesarskich ogrodów w Wiedniu), był uczonym szeroko znanym, a przy tym człowiekiem gadatliwym i może nawet trochę próżnym. Przy każdej okazji opowiadał on nie tylko uniwersyteckim kolegom, ale także przygodnym słuchaczom o roślinach, które hoduje. Najczęściej z entuzjazmem i nieukrywaną dumą rozprawał o tulipanach, których, jak twierdził, nie zamieniliby na żadne bogactwa świata. Była to jawna prowokacja, z czego uczonego nie zdawał sobie zapewne sprawy. Pewnej, powiedzmy, beksięzycoowej nocy nieznanymi sprawcy wdarli się do ogrodów uniwersyteckich i skradli tulipany Clusiusa. Złodziejce musieli posiadać niemałe kwalifikacje naukowe, ponieważ ich łupem były wyjątkowo odmiany naprawdę rzadkie i cenne. Zgorzkniały botanik nie zajmował się już tą rośliną do końca życia.

Cała ta historia przypomina balladę o uczniu czarnoksiężnika. Nastąpiła nagła transmutacja: przedmiot cierpliwych naukowych, a więc bezinteresownych studiów przemienił się w obiekt obłądnych finansowych transakcji. I tu nasuwa się istotne pytanie — dlaczego właśnie tulipan, a nie inny kwiat wyzwoili szaleństwo?

Powodów było kilka. Powiedzieliśmy już, iż tulipan był kwiatem arystokratycznym i uwielbianym. Cóż za rozkosz posiadać coś, co stanowi dumę monarchów! Poza tymi względami snobistycznymi istniały także powody czyste, by tak rzec, przyrodnicze... Otóż hodowla tulipana nie nastroczała większych problemów i kłopotów. Był to kwiat wdzięczny, łatwy do oswojenia. Każdy, kto posiadał choćby najmniejszy kawałek ziemi, mógł oddać się tej pasji.

W holenderskich ogrodach grasował pewien gatunek wirusa, który powodował, że płatki korony tulipana przybierały często fantastyczne kształty o brzegach postrzępionych i pofalowanych. Z tej patologii nauczono się wkrótce ciągnąć zyski.

A wreszcie — co jest szczególnie ważne dla naszych rozważań o przyrodniczych podstawach tulipomanii — żaden inny kwiat nie posiadał takiej ilości odmian. Utrzymywało się przekonanie, że roślina ma osobliwą właściwość: prędzej czy później spontanicznie, to znaczy bez udziału człowieka, daje nowe mutacje, nowe wielobarwne formy. Mówiono, że natura umilowała ten kwiat i bawi się z nim bez końca. Wyrażając się mniej górnolotnie, znaczyło to: nabywca cebulki tulipana znajdował się w sytuacji człowieka grającego na loterii. Ślepy los mógł go obdarzyć wielką fortuną.

W pierwszej połowie XVII wieku Holendrzy szczyli się trzema rzeczami: najpotężniejszą i niepokonaną flotą, „słodczymi wołnościami większymi niż gdzie indziej” i — jeśli można łączyć w jednym zdaniu sprawy ważne z mniej ważnymi — co najmniej paroma setkami odmian tulipana. Zdawało się, że słownik nie nadąży za tym bogactwem przyrody. Mamy w tym czasie pięć gatunków „Cudu”, cztery „Smaragdy”, aż trzydzieści „Wzorów doskonałości” (co stanowi pewne semantyczne nadużycie tego słowa). Obdarzeni fantazją wymyślali imiona pełne poezji — „Królewski agat”, „Diana”, „Arlekin”, a pozbawieni wyobraźni nazywali swoje okazy po prostu „Pstry”, „Dziewica”, „Czerwono-żółty”. Aby sprostać rosnącym zadaniom, wprowadzono także stopnie wojskowe, ba, wprzęgnięto nawet historię, mamy więc „Admirała van Enckhuysena”, „Generała van Eycka” i wielu innych, co pewien sprytny hodowca postanowił śmiało przelicytować, nazywając swoją odmianę „Generałem Generalów”. Jest też oczywiście „Król”, „Wice-Król”, „Książę”, tak jakby w tę całą różnorodność graniczącą z chaosem chciano wprowadzić ład arystokratyczno-wojskowy.

Ogromna ilość odmian tulipanów, jakie zdołano wyhodować w Holandii, budzi podziw i oszołomienie, ale tkwił w tym także załączek katastrofy. Jeśli gra toczy się przy użyciu niewielkiej ilości kart, jest z reguły prostacko banalna i kończy się szybkim roz-

strzygnięciem; kiedy natomiast gracze rozporządzają, powiedzmy, kilkoma taliami, otwiera się pole do stosowania złożonych kombinacji, inteligentnej strategii, wyważonego ryzyka i przebiegłych metod. Podobnie było z tulipanem; należało się tylko zgodzić, jakie gatunki będą miały walor „asów”, a jakie zaliczy się do „piotek”.

To jest oczywiście bardzo uproszczony schemat, pierwsze wiążące zbliżenie do tematu. Elementy ludyczne grały niewątpliwą rolę, w istocie jednak tulipomania była zjawiskiem bardzo złożonym. Najbardziej decydujący i ważki był chyba aspekt ekonomiczny zagadnienia. Inaczej mówiąc, w porządek natury wprowadzono porządek giełdy i tulipan zaczął tracić swoje właściwości i uroki kwiatu, bladł, wyzbywał się kolorów i kształtów, stawał się abstrakcją, nazwą, symbolem wymiennym na pewną ilość pieniędzy. Powstawały tedy skomplikowane tabele, na których poszczególne gatunki ułożone były według zmiennej ceny rynkowej, niczym papiery wartościowe albo kursy walut. Wybiła godzina wielkiej spekulacji.

Przez cały okres tulipomanii — a więc w ciągu kilkunastu lat — na samym szczycie owych cenników utrzymywał się niezmiennie, jak słońce znierruchomiełe w zenicie — „Semper Augustus”. Nie poznałem go nigdy osobiście. Daremnie szukać go w kwaciarniach, które, jak i inne nasze sklepy, sprzedają standardowe róże, standardowe jajka, standardowe samochody. Moja wina. Gdybym odwiedzał ogrody botaniczne tak pilnie jak muzea, może doszłoby do spotkania. Znam jednak ten tulipan ze starej kolorowej akwareli. Jest istotnie piękny dzięki swojej wyszukanej i zarazem prostej harmonii barw. Płatki nieskazitelnie białe, wzdłuż płatków przebiegają rubinowe, płomieniste żyłki, na dnie kielicha błękit, jakby odbicie pogodnego nieba. To był naprawdę okaz wyjątkowo ładny, ale cena, jaką osiągnął „Semper Augustus” — pięć tysięcy florenów (równowartość domu z rozległym ogrodem) budzi dreszcz niepokoju. Tamy zdrowego rozsądku zostały przerwane. Odtąd będziemy poruszać się po grząskich rejonach chorobliwej fantazji, gorączkowej chęci zysku, obłąkańczych iluzji i gorzkich rozczarowań.

Zdarzało się, że transakcje zawierane były w naturze, co jeszcze lepiej pozwala wglądać w rozmiary szaleństwa. Oto za



cebulkę tulipana „Wice-Król” (wart był połowę tego, co „Semper Augustus”) płacono w naturaliach jak następuje:

- 2 wozy pszenicy
- 4 wozy żyta
- 4 tuste woły
- 8 tłustych świń
- 12 tłustych owiec
- 2 beczki wina
- 4 baryłki przedniego piwa
- 1000 funtów sera

i jeszcze do tych napojów, jadła i tłustości dodawano łożko, ubranie i srebrny puchar.

W początkowej fazie tulipanomanii ceny szły nieustannie w górę i, jak by wyrazili się maklerzy, tendencja na „gieldzie kwiatowej” była zrazu „przyjazna”, potem „ożywiona” aż do „bardzo ożywionej”, by w końcu, stało się to dość szybko, przejść w stan zupełnie niekontrolowanej zdrowym rozsądkiem euforii.

Otwierała się coraz większa przepaść między realną wartością oferowanych sadzonek a ceną, jaką za nie płacono. A płacono chętnie, z radością, jakby w przeczcuciu bliskiego uśmiechu losu. Większość tych, których dotknęła tulipanowa mania, grała na hossę, to znaczy w przekonaniu, że koniunktura zwyklowa będzie utrzymywała się wiecznie (czy nie przypominają progresistów?), że dziś kupiona cebulka podwoi swoją wartość jutro, najdalej pojutrze. Można w tych fantastycznych spekulacjach, jeśli traktować je na serio, bez ironii (bo „starszeństwo” w historii wcale do tego nie upoważnia), dopatrzeć się czegoś głębszego — na przykład starego mitu ludzkości o cudownym rozmnożeniu.

W kategoriach ziemskich sprawa wyglądała tak: sprzedawcy nie liczyli się zupełnie z możliwościami nabywców, a co gorsza, nabywcy jakby stracili całkowicie instynkt samozachowawczy i nie liczyli się z możliwościami własnymi. Hektyczny nastrój, jaki towarzyszy wielkim operacjom giełdowym, jest powszechnie znany, ale w przypadku tulipanomanii było to coś bardziej poważnego, bardziej patologicznego niż „nastrój”.

Dewiacje psychiczne określane nazwą manii posiadają pewną wspólną cechę. Osobnicy dotknięci tą przypadłością mają

tendencję do stwarzania urojonych autonomicznych światów, rządzonych własnymi prawami. W naszym przypadku była to jakby gigantyczna loteria kwiatowa i wszyscy grający oczekiwali głównie wygranej. Gra nie toczyła się jednak na wynajętej w tym celu wyspie, lecz w kraju, gdzie kardynalnymi cnotami były: rozważa, umiarkowanie i — wypłacalność. System oparty na mieszczańskiej kalkulacji nie mógł współżyć z systemem finansowych fantasmagorii. Kolidzja świata pragnień z potoczna realnością była nieunikniona i, jak zwykle w takich przypadkach, bolesna.

Warto zastanowić się teraz, w jaki sposób, w jakich miejscach i jakich społecznych ramach odbywała się spekulacja cebulkami tulipana. Najbliższa prawdy odpowiedź brzmi: na marginesie normalnego życia gospodarczego, żeby nie powiedzieć, w jego ciemnych zakamarkach. Kilka razy wspomnieliśmy o giełdzie, ale nie należy tego rozumieć dosłownie. Nie było nigdy i nie mogło być żadnej oficjalnej tulipanowej giełdy, bowiem ta instytucja zakłada jawność, dopuszcza ograniczoną liczbę uprawnionych, a wyniki transakcji podawane są do wiadomości ogółu zainteresowanych.

Natomiast wiemy, że dziki handel tulipanami budził poważną troskę i zaniepokojenie władz. Wydawano tedy zarządzenia, których intencją było, jeśli nie wyeliminowanie, to choćby ograniczenie, utemperowanie tego groźnego zjawiska społecznego. Niewiele to jednak pomagało, dokładniej mówiąc, miało skutek wręcz przeciwny do zamierzonego. Żywioly nie dają się uciszyć łagodną perswazją.

Kraj żył w gorączce. Ktokolwiek ma w pamięci wojnę, wie do brze, że najbardziej fantastyczna i niesprawdzona informacja potrafi dobrać ludzi z dna rozpacz i przenięć na zawrotne wyżyny optymizmu i złudnych nadziei. Podobnie było w naszym przypadku. Wieści o nagłych fortunach zdobytych dzięki tulipanom rozchodzily się lotem błyskawicy. Oto pewien obywatel Amsterdamu, posiadający mały ogródek, zarobił w ciągu czterech miesięcy 60 000 florenów, majątek, o którym nie śnił nawet przeciętny kupiec u schyłku swego pracowitego żywota. Albo ów Anglik, który wcale nie znalazł się na kwiatkach, a zdolał zbić 5000

funtów drogą przemysłowych spekulacji. Trzeba było mieć, zaiste, stoicki charakter, aby nie oprzeć się tym pokusom.

Ponieważ cały proceder był nieoficjalny, co więcej, miał charakter gry zakazanej, właśnie dlatego stawał się coraz bardziej pociągający i zdobywał coraz nowych adeptów. Zupełnie jak w okresie prohibicji: nawet umiarkowani amatorzy napojów wyskokowych manifestują swoją wolność nadmiernym wchłanianiem alkoholu.

Nie ma, oczywiście, żadnych statystyk, które by mówiły o tym, ile osób dotkniętych było manią tulipanową. Można jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa sądzić, że liczba ich wynosiła dziesiątki tysięcy. A przy tym, co jest szczególnie ważne, nie dają się oni zaliczyć do żadnej określonej grupy społecznej. Są pośród nich bogaci i biedni, kupcy i tkacze, rzeźnicy i studenci, malarze i chłopci, kopacze torfu i poeci, urzędnicy miejscy i sprzedawcy starzyny, żeglarze i zacne wdowy, osoby powszechnie szanowane i rzeźmieszki. Nawet wyznawcy wszystkich dwudziestu kilku wyznań biorą zgodny udział w tym wyścigu po fortunę.

Oczywiście, biedni ryzykują więcej, biedni ryzykują wszystko. Kiedy czytamy, że pewien rzeźmieszek wciągnięty w wir spekulacji zastawił swoje narzędzia, uświadamiamy sobie całą grozę sytuacji. Kaznodzieje ciskają z ambon gromy na wszeteczną tulipomanię, ale oni sami, jak twierdzą złośliwi, wymykają się chyłkiem do innych miast, by oddawać się bez niepożądanych świadków grzesznej pasji.

Ale mniejsza o pastorów. Oni zawsze się jakoś wytłumaczają na Sądzie Ostatecznym. Gorzej, czy wręcz haniebnie, że do akcji wciągnięto dzieci. Ponieważ sukces w grze polegał między innymi na zebraniu możliwie największej ilości informacji (ceny, miejsca transakcji, fluktuacje koniunktury albo, mówiąc prościej, jakie cebulki tulipana wyniósł sąsiad pod pazuchą i za ile sprzedał w tawernie „Pod Ryczącym Osłem”) — tego wszystkiego musiał się dowiedzieć wyrostek spełniający niegodną funkcję szpiega.

Gorączka, maligna i bezsenność. Bezsenność, bo wiele transakcji tulipanowych dochodziło do skutku nocą. Czynny udział w spekulacjach pochłaniał nierzadko kilkanaście godzin dzien-

nie i nie dawał się pogodzić z innym, bardziej produktywnym zajęciem. Ci, którzy sami hodowali tulipany, żyli jak skąpcy na worku złota. W ogródkach zakładano tedy przemysłowe systemy dzwonek alarmowych, które miały podierać właściciela na równe nogi, jeśli do drogocennych grządek zbliżył się nieproszony gość.

O epidemicznym charakterze tulipomanii świadczy jej ogromny zasięg terenowy. Dotknęła bowiem nie tylko okregi tradycyjnie ogrodnicze, jak na przykład okolice Haarlemu, ale także Amsterdam, Alkmaar, Hoorn, Enkhuizen, Utrecht, Rotterdam — więc wszystkie większe skupiska w Holandii. I tam właśnie liczba ofiar była najwyższa. Bakcyl tulipomanii unosił się wszędzie, zagrażał wszystkim. O ileż łatwiej rozprawić się z wrogiem widzialnym: zamyka się bramy miasta, na mury wychodzą dzielni obrońcy...

Ale istnieje przecież coś, co nazywamy siłą rozumu, i ona właśnie stanowi (nie zawsze) skuteczną broń przeciwko rozpętanym irracjonalnym mocom. Wiemy dobrze, że Holandia była krajem ludzi czytających, mądrych autorów, wykształconych księgarzy i światłych wydawców. Zagadnienia aktualne znajdowały bardzo szybko swój oddźwięk w druku i dotyczyło to nie tylko poważnych sporów politycznych czy religijnych, ale także sprawy tulipomanii, której rozmiary budziły zrozumiałe niepokój, spotykała się ze zdecydowanym oporem i protestem trzeźwych obywateli. Ale cóż, państwo było liberalne, opinia społeczna zróżnicowana, więc obok głosów rozsądku ukazywały się pisemka stanowiące swego rodzaju praktyczne wprowadzenia w zasady tulipanowej spekulacji, prolegomena obłędu, samouczki, jak zostać szaleńcem.

A była w tym wszystkim metoda i nawet rytuał. Oto jeden z autorów zaleca, że jeśli komuś udało się wyhodować nieznaną odmianę tulipana, winien postąpić w ten sposób: udać się niezwłocznie (czas nagli, bo może komuś innemu udało się podobna sztuczka) do fachowca-ogrodnika, nie sam, ale w towarzystwie znajomych, przyjaciół, a nawet przygodnie spotkanych osób. Cel jest oczywisty: nadać zdarzeniu możliwie największą *publicity*. U owego ogrodnika odbywa się narada, w czasie której



każdy z obecnych wypowiada się o nowym botanicznym objawieniu. Zupełnie jak wysokie kolegia kościelne, zajmujące się problemami prawdziwych i urojonych cudów.

Teraz następuje część bardzo istotna, powiedzielibyśmy komparatystyczna, porównanie nowej odmiany z odmianami znanymi. Jeśli wykazuje ona podobieństwo do jakiegoś głośniego „Admirała”, ale jest mniej urodziwa, należy ją skromnie nazwać „Generałem”. Ten obrządek chrzcin jest niesłychanie ważny. Tulipan staje się osobowością lub, mniej górnolotnie, używając terminologii giełdowej, dopuszczonym do obrotu walorem. Na koniec trzeba uraczyć wszystkich obecnych przednim winem, bo przecież to oni rozniósł wiadomość o narodzinach i będą głosić wdzięki nowej odmiany.

Transakcje cebulkami tulipana odbywały się w oparach piwa, jałowcówki i baraniny, to znaczy w gospodach, zajazdach, tawernach. Niektóre z nich miały specjalnie przeznaczone do tego celu pokoje. Były to jakby kluby czy też filie ogromnej, dobrze zakonspirowanej giełdy. Walka o każdą ceną odmianę tulipana musiała być zażarta. Jeśli ubiegano się o nią kilku nabywców, ten, który pragnął ich przelicytować, dodawał do już i tak wygórowanej ceny — karete z parą koni.

Cały kraj pokrywa sieć mniej lub bardziej znanych, sekretnych i prawie jawnych, „jaskiń” tulipanowego hazardu. Nie ma w tym żadnej demonicznej siły, ale prosta reguła każdej „wielkiej gry”, każdego potężnego nalożu — wciągnąć, usidlić jak największą liczbę osób. Ponieważ szalenstwa nie można uzasadnić logicznie, trzeba mieć na obronę mocną statystykę — tak robią wszyscy, albo prawie wszyscy, także politycy. Wyliminować, pokazać zmniejszyć liczbę tych, którzy stoją z boku, przyglądają się krytycznie, psują zabawę. Świat maniaków tulipanowych dąży do tego, żeby stać się światem totalnym.

Jak odbywało się to w praktyce? Istnieje dokument, co prawda literacki, ale wiarygodny, który dostarcza cennych informacji o sposobach zdobywania nowych adeptów. Dialog toczy się między dwoma przyjaciółmi. Pierwszy — Pieter — jest wytrawnym spekulantem, drugi — Jan — odgrywa w rozmowie rolę „pierwszej naiwnej”.

Pieter: Bardzo cię lubię. Dlatego chciałbym zaproponować tobie pewną korzystną transakcję. Robię to bezinteresownie, z czystej przyjaźni.

Jan: Słucham pilnie, mój drogi.

Pieter: Otóż mam cebulkę tulipana „Arlekin”. To bardzo piękna odmiana i w dodatku ogromnie poszukiwana na rynku.

Jan: Ależ ja nigdy w życiu nie zajmowałem się kwiatami. Nie mam nawet ogrodu.

Pieter: Nic nie rozumiesz. Proszę, posłuchaj mnie dobrze, nie przerywaj, bo kto wie, może dzisiaj wielkie szczęście puka do twoich drzwi. Czy mogę mówić dalej?

Jan: Tak, tak, oczywiście.

Pieter: Otóż cebulka „Arlekina” warta jest sto, a nawet więcej florenów. W imię naszej niezmałoczonej, jak już wspomniałem, przyjaźni, oddam ci ją za pięćdziesiąt florenów. Jeszcze dziś, bez wysiłku, możesz zarobić sporo pieniędzy.

Jan: To doprawdy wspaniała propozycja! Takiej historii jeszcze nie miałem, jak żyję. Tylko powiedz mi, proszę, co ja mam począć z tym „Arlekinem”. Nie stanę przecież na rogu ulicy.

Pieter: Wyjawię tobie całą tajemnicę. Zakonotuj to dobrze w pamięci. Dlaczego się wierzysz?

Jan: Słucham, tylko mać mi się trochę w głowie.

Pieter: Zrób dokładnie tak, jak mówię: idź do zajazdu „Pod Lwem”. Zapytaj gospodarza, gdzie gromadzą się handlarze tulipanami. Wejdiesz do wskazanego pokoju. Wtedy ktoś odezwie się bardzo grubym głosem (ale ty się nie daj zbić z tropu): „Wszedł tu obcy”. W odpowiedzi na to masz zagdakać jak kura. Od tego momentu będziesz zaliczony w poczet handlarzy.

Niech Bóg ma w opiece kalwińską duszę Jana! Rozstajemy się z nim na progu farsy, o krok od tragedii. Dalsze jego losy spowija mrok. Nie wiadomo nawet, czy udało mu się w decydującym momencie odpowiednio przekonywająco zagdakać. Na podstawie przytoczonej opowieści istnieje słaba nadzieja, żeby został rekinem tulipanowej giełdy. Wydaje się, że przypisana mu jest rola ofiary.

Jeszcze jeden szczegół zasługuje na uwagę. Wprowadzenie do branży tulipomaniaków przypomina pewne, skądinąd znane,



wzory. Z zachowaniem wszelkich proporcji przywodzi na myśl rytuał inicjacji. Oczywiście, loże masonskie urzędowały to z większą pompą i z większą znajomością wiedzy ezoterycznej.

Mania jest podniosłym stanem duszy. Ci, którzy jej nie przeżyli choć raz, są w jakiś sposób ubożsi. A poza tym, w pewnych określonych warunkach przynosi korzyści. Nikomu nieznany, bo ani poeta, ani malarz, ani mąż stanu, zwykły człowiek wspomina z nieklamany sentymentem czasy tulipanowej manii. Nazywał się Waermond, urzędował zawsze w tej samej tawernie i pełnił funkcję maklera. Między jedną a drugą transakcją „zajadałem smażone mięso i ryby, a także kury i zające, ba, nawet delikatne pasztety. Do tego pilem wino i piwo od samego rana do trzeciej lub czwartej w nocy. Zawsze wynosiłem więcej pieniędzy w kieszeni, niż miałem na początku dnia”. Oto prawdziwa Szlarafia — kraina sytego lenistwa.

3

*La maladie infectieuse tend à la fois à se perpétuer et, pour assurer cette perpétuité, à se modifier suivant les circonstances.*

Charles Nicolle

Największe nasilenie tulipomanii przypada na lata 1634–1637. Zimą roku 1637 nastąpił potężny krach; cały urojony świat rozpadł się w gruzy. Gdyby komuś udało się odtworzyć „krzywą tulipanowej gorączki”, okazałoby się, że przypomina do złudzenia wykres temperatury pacjenta chorego na ciężką chorobę zakaźną — linia szybko rośnie, utrzymuje się czas jakiś na bardzo wysokim poziomie, na koniec gwałtownie spada.

Nasuwa się jednak pytanie — jakie fatum czy nieublagana logika wydarzeń sprawiły, że stało się to właśnie owej zimy 1637 roku? Odpowiedzi jest wiele i to oznacza koniec.

Niektórzy sądzą, że zwycięstwo nad tulipanową epidemią jest zasługą zdrowej części holenderskiego społeczeństwa. To oni stworzyli pas sanitarny, zatamowali rozprzestrzenianie się cho-

roby. Nie brak było takich, którzy czynnie przeciwstawiali się tulipomanii. Opozycja musiała być dość silna, skoro do dziś zachowało się z tamtych czasów sporo broszurek, pism, ulotnych pamfletów, satyr i rycin wyśmiewających bezlitośnie nieszczęśliwych maniaków. W języku potocznym nazywano ich „zakapturzonymi”, czyli wariatami. Umysłowo chorzy nosili wówczas zaciągnięte na twarz kaptury — swoisty zabieg „wizualnej” ochrony zdrowej części narodu.

Hendrick Pot, malarz portretów zbiorowych, obrazów religijnych i scen rodzajowych, przedstawił pod zasłoną przejrzystej alegorii, w dziele *Wóz szaleńców* — manię, która nawiedziła jego kraj. Na tym wozie rozpoznajemy Florę, która trzyma w ręku trzy najcenniejsze odmiany tulipana — „*Semper Augustus*”, „*General Bol*” i „*Admiral Hoorn*”. Naprzeciwko opiekunki przyrody pięć symbolicznych postaci — Nicpoń, Spragniony Bogactw, Pijak oraz dwie damy: Próżna Nadzieja i Nędza. Za wozem biegnie wielki tłum ludzi, którzy wołają: „My też chcemy się bogacić!”

Niezliczona ilość historyjek, anegdot i dowcipów świadczy o tym, że na tulipomanie odpowiedziano zdecydowaną tulipofobią, zacieklą wrogością do tej niewinnej przecież rośliny. Doprawdy, nie zasłużyła ona ani na nieprzytomne uwielbienie, ani także na pogardę bez granic. Ale opowiadamy o czasach rozkołysanych namiętności. Otóż mówiono, że nie kto inny, ale wykładowca uniwersytetu w Lejdzie, i to żaden teolog, lecz profesor botaniki Forstius, gdziekolwiek zobaczył tulipana, szarżował na niego i niszczył za pomocą łaski, przeistaczając się w ten niewybredny sposób z uczonego w inkwizytora i moralistę.

Łaska Forstiusa nie posiadała magicznej władzy, a najbardziej nawet zjadliwe pamflety nie były w stanie poskromić szaleństwa. Są więc tacy, którzy twierdzą, że śmiertelny cios tulipomanii zadała władza, jej mądre rozporządzenia i dekrety. Zdawano sobie dobrze sprawę z tego, że sytuacja jest poważna i nie można przyglądać się jej biernie, bowiem nieujęta w żadne ramy spekulacja zagraża podstawom gospodarki narodowej.

Szereg instytucji, od cechu kwiaciarzy aż po Stany Generalne, czyli parlament, postanowiło dać odpór szaleństwu. Posypały się

więc zarządzenia i uchwały, zrazu chwiejne i nieskuteczne, aż po drastyczny dekret Stanów z kwietnia 1637 roku, którym anulowano spekulacyjne umowy, a także ustalono wartość maksymalną cebulki tulipana. Wynosiła ona 50 florenów. „*Semper Augustus*” był wart obecnie jedną setną niedawnej ceny giełdowej. Stało się to szybko i nieoczekiwanie, jak rewolucja pałacowa, jak detronizacja cesarza.

Wysiłki władzy zmierzające do pokonania tulipomanii, troska o losy i mienie obywateli są naturalnie godne pochwały i należy je w pełni docenić. Zdaje się jednak, że większość badaczy mylnie przypisuje im rolę decydującą. Z doświadczenia wiemy, że wszelkie zakazy i prohibicja w przypadkach, powiedzmy, ostrego nasilenia narkomanii dają skutek wręcz odwrotny do zamierzonego. Od czasów raju zakazane owoce są najbardziej godne pożądania.

Decyzja Stanów Generalnych zapadła późno, bardzo późno, w czasie, kiedy mania już dogasała. Było to więc konsylium zebrane przy łożu beznadziejnie chorego lub, używając wyrażenia zaczerpniętego ze słownika taumachii, *coup de grâce*. Naprawdę niczego już nie można było uratować.

W naszym przekonaniu, tulipomanię zabiło jej własne szaleństwo. Dowodów na poparcie tej tezy dostarcza analiza zmiennych nastrojów tulipanowej giełdy. W okresie euforii zyski spekulantów były ogromne, tyle tylko że nie zawsze wyrażały się w obiegowej walucie, gotówce, lecz w kredycie. Właściciel odmiany „*Semper Augustus*” był powszechnie uważany za bogacza, mógł więc zaciągać spore długi i tak też najczęściej robił. Szalone obroty giełdowe stawały się coraz bardziej abstrakcyjne. Sprzedawano już nie cebulki (ich wartość była najzupełniej umowna, coraz odleglejsza od rzeczywistości i zdrowego rozsądku), ale nazwy cebulek, niczym akcje, i zmieniały one właściciele często dziesięć razy dziennie.

Ceny rosły i liczone, że będą rosły w nieskończoność, bowiem taka jest logika manii. Wielka część przezornych magazynowała swoje „walory”, aby rzucić je na rynek w momencie najbardziej sprzyjającej koniunktury. I właśnie ci przezorni — jak to bywa zwykle z ciułaczami zapłatnymi w sieci hazardu — ponieśli klę-

skę najdotkliwszą. Już w roku 1636 zalamala się wiara w świetlaną przyszłość tulipomani. Runął gmach zaufania i wybuchających iluzji. Podaż tulipana była coraz większa, popyt mała zatrważająca. Na koniec wszyscy chcieli sprzedawać, ale nie było już śmiałych rzykantów. Tę właśnie fazę tulipomanii przedstawił trafnie Hendrick Pot. Rozpaczliwy okrzyk thumu biegnącego za pojazdem Flory staje się w tym kontekście zupełnie jasny.

Tak więc kryzys wyprzedził znacznie interwencję władzy. Dnia 3 stycznia 1637 roku, a więc przeszło cztery miesiące przed dekretem Stanów Generalnych, pewien ogrodnik amsterdamski kupił okazjnie cenną cebulką tulipana za 1250 florenów. Zrazu uszczęśliwiony, zorientował się wkrótce, że nie zdola jej sprzedać ani za połowę, ani nawet za jedną dziesiątą kosztów własnych. Teraz bowiem nastąpił ostry kurs w dół i gra szła już nie o to, aby zarobić, ale możliwie jak najmniej stracić. Cała historia tej nieszczęsnej afery rozpięta jest między dwoma biegunami: długim desperackim atakiem tłumów po fortunę i nagłym, dzikim poplochem.

A więc rozstajemy się z tulipomanią i będzie to rozstanie pełne łez, złorzeczeń i jęków. Małą pociechą dla poszkodowanych jest stwierdzenie, że nie mogło stać się inaczej.

Jaki jest bilans? Ponieważ wszystko odbywało się niejawnie, na marginesach, w ciemnych korytarzach, w podziemiach oficjalnego życia, trudno w wartościach wymiernych ocenić rozmiar tej katastrofy. Ale bilans był bez wątpienia tragiczny. Tysiące zrujnowanych majątków, dziesiątki tysięcy ludzi bez pracy i w dodatku zagrożonych procesami. Niewypłacalność z reguły karana była surowym więzieniem. Tych, którzy lekkomyślnie zaciągnęli pożyczki, były legiony. I wreszcie, czego nie obejmuje żadna statystyka — długa lista niewinnych rodzin, pozbawionych środków egzystencji, dzieci skazane na nędzę lub dobroczynność publiczną, złamane kariery mężczyzn, ich zniszczona reputacja i godność. Bankrutom pozostało niewiele dróg wyjścia: zaciągnięcie się do floty (wymagało to pewnych kwalifikacji) lub żebractwo — co już nie wymagało żadnych specjalnych uzdolnień.

Nie trzeba nas przekonywać, że była to tragedia „tylko” mieszczańska. Ale skala namiętności spekulantów kwiatami równała

się skali bohaterskiego tenora w operze. Aria giełdziarza była donośna i trywialna — to oczywiste. Jeśli już dalej mamy ciągnąć za włosy te teatralne analogie — grano bez miecza i krwi, bez trucizny nawet. Więc dlaczego, u licha, wzruszają wyobraźnię?

We wszystkich okresach tulipomanii — nie tylko w czasie fatalnego epilogu, ale także w dniach jej zwycięskiej euforii — zdarzały się małe i wielkie dramaty ludzkie. Spośród wielu, jakie zachowała pamięć, wybieramy jeden. Temat jak żywcem wzięty z opowiadań Czechowa.

Związek kwiatiarzy w Haarlemie został zaalarmowany wiadomością sensacyjną, która wszystkim wprawiła w stan gorączkowego podniecenia. Otóż jakiś ubogi, nikomu nieznan szewc z Hagi wyhodował niezwykłą odmianę tulipana zwanego „Czarnym”. Postanowiono natychmiast działać, to znaczy zbadać sprawę na miejscu i, jeżeli to jest tylko możliwe, zdobyć okaz. Pięciu czarno ubranych panów wkacza do mrocznej izdebki szewca. Rozpoczynają się pertraktacje handlowe, bardzo dziwne pertraktacje, bo panowie z Haarlemu grają rolę dobroczyńców, że niby z czystej filantropii przyszli tu, aby pomóc biednemu rzemieślnikowi, ale jednocześnie nie potrafią ukryć, jak ogromnie zależy im na posiadaniu „Czarnego Tulipana”. Mistrz kopyta i dratwy zorientował się w sytuacji, stara się osiągnąć jak najwyższą cenę. Targ w targ, wreszcie transakcja dochodzi do skutku — 1500 florenów, suma istotnie niebagatelna. Chwila szczęścia biednego szewca.

Teraz następuje coś nieoczekiwanego, co w dramacie nazywa się punktem zwrotnym. Kupcy rzucają nabytą tak wielkim kosztem cebulkę na ziemię i z furją rozdeptują ją nogami na miazgę. „Idioto — krzyczą do osłupiałego latacza butów — my też mamy sadzonkę «Czarnego Tulipana». A poza tym nikt na świecie! Nie ma jej żaden król, żaden cesarz, żaden sultan. Gdybyś zażądał za swoją cebulkę 10 000 florenów i do tego parę koni, zapłacilibyśmy bez słowa. I jeszcze sobie zapamiętaj: drugi raz w życiu nie uśmiechnie się do ciebie szczęście, bo jesteś cymbał”. I wychodzą. Szewc powłókl się chwiejnym krokiem na swoje poddasze, legł na łóżku, nakrył się płaszczem i wyzionął ducha.

Tulipomania — największy znany nam botaniczny obłęd — była epizodem wpisanym na marginesie Wielkiej Historii. Wybraliśmy ją nie bez powodu. Trzeba to uczciwie wyznać: mamy dziwne upodobanie do przedstawiania szaleństw w przybytkach rozsądku i lubimy zajmować się katastrofami na tle łagodnego krajobrazu. Są jednak powody bardziej ważne niż płoche skłonności osobiste czy estetyczne. Bo czyż opisana afera nie przypomina innych, bardziej groźnych szaleństw ludzkości, polegających na bezrozumnym przywiązaniu do jednej idei, jednego symbolu, jednej formuły szczęścia?

Dlatego nie można postawić wielkiej kropki po dacie 1637 i uznać sprawy za definitywnie zakończoną. Nie jest rzeczą rozsądną wymazać ją z pamięci lub zaliczyć do niepojętych dziwactw przeszłości. Jeśli tulipomania była rodzajem psychicznej epidemii — a tak ośmielamy się sądzić — istnieje prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że któregoś dnia, w tej czy innej postaci, nawiedzi nas znowu.

W jakimś porcie Dalekiego Wschodu wchodzi właśnie na pokład.